Nr. 21. **Rok 13.**

PRZYJACIEL LUDU.

Leszno, dnia 23. Maja 1846.

Głowa Świętéj Jadwigi, znajdująca się w pięknym relikwiarzu w klasztorze Trzebnickim. — O'Connel (dalszy ciąg). — Kurpie. — Leon Haber (dokończenie). — X. Andrzéj Pohl. — Przeczucie. — Dalszy ciąg zbioru pieśni Colberga.



Daniel O'Connel.

(Ciąg dalszy.)

II.

Miłość sprawiedliwości i wolnych instytucyi staréj Anglii nie dozwoliła Anglikom uznać O'Connela, zapatrując się na jego polityczne życie z stanowiska konstytucyjnéj Anglii, za winnego, jakim go uznał Sąd przysięgłych. Wyrokiem Izby Parów (Lordów), został O'Connel uwolnionym od kary, wyrok stronniczéj Jury został zniesiony, a O'Connel'a krajowi, ludowi i familii jego przywrócono!

Dnia 12go Lutego 1844 r. wydał Sąd przysięgłych wyrok, który, jak się to już wyżéj rzekło, uznał O'Connel'a winnym. W skutek tego dochodziło zaburzenie w Irlandyi do wysokiego stopnia i gdyby nie napominania do spokojności O'Connel'a, byłoby łatwo przyjść mogło do krwi rozlewu. Sama Anglia i Szkocya nie mniéj była rozgniewaną na pogwałcenie praw wolności obywatelskiéj w osobie O'Connel'a. Wszędzie odbywały się zgromadzenia ludu, które ogłaszały się za sprawą O'Connel'a i wstawić się za nim nie omieszkały. Miasto szkockie Glasgow wyrzekło w swéj do izby Parów podanéj petycyi, że dopóki panowanie kościoła anglikańskiego nad katolickim zniesioném nie zostanie, dopóty porządku i pokoju w Irlandyi spodziewać się nie można. Towarzystwo zaś „Przyjaciół Irlandyi" w Londynie wypowiedziało głośno, że, jeżeli oswobodziciela Irlandyi więzić zamyślają, ono nadzwyczajny Meeting na błoniu Kennington zwołać postanowiło, który tak głośno domagać się będzie sprawiedliwości, iż parlament zadrzy i dowie się zarazem, że O'Connel nie tylko irlandski, ale także i angielski lud ma za sobą! Tak starały się wszystkie stronnictwa, pełne szlachetnego zapału i gorliwości, wynurzyć Irlandyi i O'Connelowi swoje oburzenie, radykalni pod przewodnictwem J. Sturge z Birmingham'u jako i przeciwnicy praw zbożowych pod przewodnictwem Pana Cobden. Sami nawet Whig'owie, pod dowództwem swego naczelnika, Lorda Joh'na Russell, nie milczeli, jakkolwiek oni małą tylko są częścią arystokracyi angielskiéj i te same prawie co ta mają zasady. Tylko Torys'owie, zatwardziali arystokraci, którzy nic nie zapomnieli i niczego się nie nauczyli w biegu i z doświadczeń czasu, tylko ci zapatrywali się ze złością i strachem z uboczy na zapał ludu ku najświętszéj sprawie sprawiedliwości i wolności każdego obywatela. Torysowskie ministeryum Sir Roberta Peel'a nie taiło się z tém, jak trudném było jego ówczesne stanowisko. Lecz zanadto rzecz ta się rozwinęła, ażeby ją było można wstrzymać lub cofnąć.

Napróżno starało się ministeryum pozornemi koncessyami pozyskać sobie i uspokoić Irlandyą; O'Connel i jego sprzymierzeńcy oznajmili natychmiast, że nie będą się w prawdzie opierać tym niedostatecznym prawom, ponieważ nie jedno zawierają w sobie dobre, lecz na żaden przypadek nie powinni ministrowie się spodziewać, że Irlandyą tém zaspokoją. Tak skończyło się i to ostatnie staranie pozyskania i ułagodzenia ludu irlandskiego na niczém, lud bowiem więcéj dowierzał w walce za swą wolność osiwiałemu O'Connel'owi, aniżeli ministrowi Panu Robertowi Peel. Gdyby nawet O'Connel był milczał, gdyby nawet był wniosek ministrów nazwał wielkiém dla Irlandyi dobrodziejstwem i prawdziwym postępem, zdanie ludu irlandskiego o nich nie byłoby się zmieniło. Pierwszy bowiem krok ministeryum, który z jego stanowiska prawdziwie konsekwentnie był uczynionym, byłby musiał ludziom, największe nawet do ministeryum posiadającym zaufanie, oczy otworzyć i pokazać, czego się po Torysach spodziewać mogą. Lord Campbell wniósł w izbie Lordów, ażeby nawet i kryminalnie obwiniony dopóty nie został uwięzionym, dopóki ostateczny wyrok nie zapadnie. Wniosek ten został usiłowaniem ministrów odrzuconym, a lord kanclerz Lyndhurst dla tego jedynie był przeciw wnioskowi, że tenże ściąga się oczywiście, jak się wyraził, na rozpoczęty process O'Connel'a w Dublinie. Czyliż nieprzyjemne położenie ministeryum ma być przyczyną do przytłumiania żądań sprawiedliwości i prawa? Takiém żądaniem był wniosek lorda Campbell, ponieważ jeżeli oskarżony wyrokiem pierwszéj instancyi wskazanym, a wyrokiem wyższéj instancyi za niewinnego uznanym zostanie, któż mu utratę najwyższego dobra ludzkiego, jakiém jest wolność osobista, wynagrodzić potrafi? Któż potrafi, nie uważając już na szkody materyalne, które z uwięzienia ojca wypływają, wynagrodzić ów niepokój i łzy, które rodzina od ojca opuszczona wylewa? Któż zdoła jéj smutek i troski osłodzić i złagodzić?

Ze ministeryum Pana Roberta Peel'a ten wniosek odrzuciło, pochodziło jedynie ztąd, że nie chciało sobie dać wydrzeć owocu wszelkich usiłowań swoich, jakim było uwięzienie O'Connel'a. W udziale, jaki miała Anglia, Szkocya i Irlandya w jego nieszczęściu, znajdował O'Connel pociechę i złagodzenie wrażeń tryumfu, jaki chwilowo nieprzyjaciele jego nad nim odnieśli; daléj w uznaniu słuszności jego sprawy, którą mu adressy z najodleglejszych i najspokojniejszych stron cywilizowanéj Europy wypowiedziały.

Tak się rzecz miała przy zbliżaniu się Maja. Sąd Queensbench (*) zgromadził się w Dublinie w celu dania wyroku na O'Connel'a i jego współobwinionych. Napróżno natężali o-

(*) Za panowania kobiet w Anglii nazywa się najwyższy sąd tego kraju Queensbench (Kinsbencz— Sąd Królowéj); jeżeli zaś na tronie mężczyzna zasiada, zowie się sąd ten Kingsbench (Sąd Króla).

broncy oskarzonych całą swą wymowę, ażeby wymódz nową inkwizycyą dla swych klientów, naprożno protestowali przeciw sfałszowaniu listy sędziów przysięgłych, naprożno walczyli przeciw ohydnéj namiętności generalnego prokuratora, naprożno złorzeczyli stronniczemu wystawieniu sprawy przez pierwszego sędziego! wszystkie bowiem ich usiłowania spełzły na niczém. Naprożno żądali, ażeby pierwszy sędzia zaniechał sprawozdania śledztwa, ponieważ sędzia przysięgły powinien samodzielnie przekonać się o sprawiedliwości sprawy przez samoż śledztwo, które dzieje się przed jego oczami, i nikt nie ma prawa podsuwać mu swego zdania! Jakże trudną bowiem jest rzeczą w paletycznych processach znaleźć człowieka, któryby panując nad swemi namiętnościami politycznemi i swém zdaniem, zdołał sprawę bezstronnie, bez nienawiści i namiętności, tylko jako czysty zastępca sprawiedliwości ocenić i wystawić? Przynajmniéj przy processie O'Connel'a takiego człowieka nie widzimy!

Dnia 30. Maja zapadł wyrok O'Connel'a na jeden rok więzienia i 2,000 funt. szterlingów kary, jego współobwinionych zaś na 8 miesięcy i 50 funt. szterlingów wskazujący. Sędzia Burton odczytał wyrok ze łzami w oczach. Natychmiast podniósł się O'Connel i uroczystym oświadczył głosem: że boleśno mu jest wyrzec to przekonanie, iż nie wyrządzono mu sprawiedliwości. Kilka tych słów wywołało ze wszystkich stron huczne oklaski, od których się sami adwokaci wstrzymać nie mogli i których sędziowie przerwać nie odważyli się. Obwinionych oddano Scheriff'owi, który miał kazać oddać ich do więzienia w Richmond. Z odkrytemi głowami patrzał lud zgromadzony na więźniów, których obok niego odprowadzono na miejsce przeznaczone i łzy płynęły z ócz wszystkich przytomnych. Lecz ojciec Daniel nakazał spokojność i nikt jéj się przerywać nie odważył, i krótko przed swém uwięzieniem powiedział był na zgromadzeniu Repeal, że jak każdy ten, kto nie jest członkiem towarzystwa Repeal, tak i ten, któryby się odważył mieszać publiczną spokojność, byłby tylko gwoździem do jego trumny. Tak niepojętą ma O'Connel władzę nad tym ognistym ludem, że w największém nawet rozjątrzeniu nikt publicznéj spokojności mieszać nie odważył się i niezliczone tłumy spokojnie rozeszły się do domu.

(Dokończenie nastąpi.)

Kurpie,

czyli:

Mieszkańcy okolic Myszeńca i Ostrołęki.

Część Mazowsza, pokrytą lasami, które się ciągną pomiędzy Bugiem, Narwą, Uzgierką i Biebrzą, zamieszkuje od wieków gałęź narodu polskiego, Kurpie, ludzie pełni odwagi i waleczności. Imię to pochodzi od sandałów z kory lipowéj lub ze skóry zrobionych, które w języku ich krajowym Kurpiami się nazywają. Ich osiadłości ciągnęły się dawniéj nad lewym brzegiem Bugu. Miasto Myszeniec, Ostrołęka, sławna przez bitwy krwawe, są ich główną siedzibą. Mała rzeczka Ośmielew dzieli ich ziemię na dwie części. Chodowanie pszczół i polowanie są ich ulubioném zatrudnieniem, zkąd też wszyscy doskonali strzelcy. Pomiędzy nimi już chłopiec trzynastoletni goni za wilkiem, niedźwiedziem lub dzikiem, będąc pewien, iż nie chybi.

Nie raz dali Kurpie poznać swoją zręczność i nieustraszoność nieprzyjaciołom Polski. Pod Augustem II., w czasie wojny Szwedzkiéj, pewna niewiasta, Działyńska, żona Tomasza, wojewody Chełmskiego, zebrała 600 Kurpi, którzy się dzielnie nieprzyjacielowi opierając, kilka kompanij rozproszyli Szwedzkich, wziąwszy gwałtem kościół, a do niewoli zaś wszystkich tych, którzy tam schronienia szukali. W roku 1708., gdy Karól XII. przechodził przez Grodno i Toruń i gdy chciał także przez Myszeniec przejść, Kurpie zamknęli mu przejście i podali warunki. Król, dumny z swych zwycięztw, odesławszy deputacyą ze wzgardą, użył przeciw nim całéj mocy broni, nie przebaczył żadnemu niewolnikowi, i był tyle okrutnym, iż nakazał im, aby jeden drugiego wieszał. Oburzeni przeciw temu barbarzyństwu Kurpie, zebrawszy swe siły, rzucili się na swoich katów i taką im rzeź sprawili, że Karól XII., uchodząc do Szemczyna z jedynym trabantem, zaledwie im uciec zdołał. W roku 1733., dali Królowi Stanisławowi Leszczyńskiemu, którego partyi się chwycili, dowody niezmiennego przywiązania; wszędzie wycinali oddziały nieprzyjacielskie, które napotykali. Garnizony Elbląga z jednéj strony i jenerała Birona z drugiéj były przymuszone iść przeciw nim, lecz stracili przeszło tysiąc ludzi i nie mogli zmusić Kurpiów, ażeby broń złożyli. Przy innéj okoliczności, w roku 1794., otworzyli regiment z strzelców Kurpiów, którzy się przeciw Prusakom z największém bili męztwem. W r. 1809. wiele się przyczynili do wypędzenia Austryaków z Polski, a w r. 1831., podczas ostatniéj wojny o niepodległość, nowe swego męztwa dali dowody.

Naród ten jest tak twardym, iż z łatwością znosi najgorsze niepogody i wszystkie przykrości życia. Moc charakteru jego stała się przysłowiem, i mówią w Polsce: „Jest mocny jak Kurp'.“ Domy ich są czyste i wygodne, na dobréj strzelbie i torbie do polowania nigdy nie zbywa mężczyznom, którzy je przekładają nad wszystkie bogactwa. Kurpie są żywi, weseli, i gdy się tylko w boru znajdują, śpiewają piosnki o polowaniu, o kochaniu, lub też o nieprzyjaciołach ich kraju.

Ubiór narodu tego jest skromny, ale bardzo wygodny. Koszula, u któréj kołnierz jest spięty spinką świecącą, spodnie wąskie z białego płótna na lato, a na zimę z sukna, sandały, suknia brunatna lub szara, która dochodzi aż do kolan, pod spodem długi kaftan z sukna, z dwoma rzędami guzików, a na to pas bawełniany czerwony, kapelusz czarny, okrągły, opasany wstążką zieloną i przyozdobiony czaplim piórem, zimą czapka z barankiem, otóż ubiór mężczyzn. Wszyscy noszą wąsy i długie włosy. Ubiór kobiet nie różni się wiele od ubioru kobiet z Mazowsza; tylko rękawy u koszul są szersze i młode dziewczęta obwięzują sobie głowę chustką, któréj końce spadają aż na plecy. Kurpie mają z resztą te same zwyczaje i obyczaje, co Mazurzy.

Leon Haber.

(Dokończenie.)

Po téj wyprawie w okolicę Dąbrowy wróćmy znowu do Warszawy.

Oj znacznie odmieniła się przez ten czas scena mojéj powieści. Trzysta dział zionęło na miasto śmierć i zniszczenie. Świst kul przeszywał powietrze. Granaty pękały z trzaskiem, a ich odłamki bryzgały śmiercią w oczy żołnierzy. Bomby burzyły gmachy, osuwały mury, i ognistą łuną owiewały dachy. A w całém mieście dzwoniły okna i drzały gmachów podwaliny. A mieszkańcy — oni spokojni, przywyknęli do podobnéj muzyki. Krukowiecki kazał im pod karą śmierci broń złożyć i zachować się spokojnie. Nie wiedzieli nawet, że to całe wielkie drama zbliża się do tragicznego rozwiązania.

Na chwilę ucichły dział gromy. I wyciągnione smugi zielonéj piechoty, niby to wstęgi łąk na krańcu widnokręgu, zsunęły się w głębokie massy, jakoby w niskie siana pokłady. I powoli bez ustanku, bez życia, a nastajaszczo sunęły te ruchawe ogromy. Tak posuwają się błotne rzeki zalewy, tak bałwany wody zgęstwionéj śniegiem lub ściętéj krami. Biedna Warszawo! tak straszna zabójcza ciągnie na ciebie szarańcza, a dwadzieścia tysięcy najdzielniejszych synów, co strzedz byli powinni twojéj świętéj niwy, nieświadomi twéj walki o śmierć lub życie, aż pod Brześć litewski w nieużytecznym zabrnęli pochodzie.

W téj okropnéj chwili, kiedy wielka sprawa nowy cios ponieść miała, przebiegałem ulice Warszawy. I ja równie, jak wielu innych, pomimo najgorętszéj chęci nie mógłem pospieszyć na wały. Rozkaz dyktatora, uważania na wewnętrzną spokojność, przykuł mnie do bruku. Serce kipiało w łonie, gorączką płonęła głowa, w myśl się wślizgał jad podejrzenia, a jednak musiałem być posłusznym. Zbiegowisko ludzi koło klasztoru na Bednarskiéj ulicy, zwróciło w te strony moje kroki. Dowiedziałem się, że jakiś Żyd przechodzi na naszą wiarę. I zobaczyłem go za chwilę. Był to Leon, ten sam Leon, mój przyjaciel szkolny. Tylko go już nie okrywał studencki surducik z granatowego sukna, z białemi tasiemkowemi wypustkami, ale mundur gwardzisty narodowego. Twarz mu owiła smętność, w oku tlał jakiś niepokój. Otaczali go ojcowie chrzestni i inne gorliwych religiantów grono. Winszowali mu otwartéj do nieba ścieżki, ofiarowali przyjaźń, obiecywali pomoc. A zdala tylko z zaułków klasztoru zawyła przeraźliwie zgraja Żydów i straszne zionęła klątwy. „Leonie!“ krzyknąłem zdziwiony. „To ty! przechrzciłeś się i w téj chwili.“ „Błagam cię na Boga naszego, nie mów mi o przeszłości,“ odparł Leon. „Ślepe ich cele, fanatyczna nauka, szalone obrzędy. Ciemnota, pieniądze, krew, to trójca ich religii. Oni waszéj, naszéj krwi potrzebują, łakną. Nie wierzyłem. Przekonał mnie ten świeży za Wisłą wypadek, i chwili żyć w takiém społeczeństwie nie chciałem.“

„Źleś postąpił Leonie. Nigdy się nie godziło porzucać stanowiska, na którem przekleństwo, czy przeznaczenie umieściło twoich braci. Cierpieć z nimi razem, kształcić słowem i przykładem w obywatelskich cnotach, w ludzkości, zbliżyć do własnego stopnia oświaty całe twoje społeczeństwo i z nim razem dopiero pokruszyć tę formę przestarzałego ducha, któréj treść zwiędła, wyschła w postępie czasu. Z niém razem rzucić się na łono nowéj myśli młodszego kościoła. To były twoje obowiązki, tyś je porzucił, zdradził.“

„Nie kończ, przez litość nie kończ,“ przerwał mi Leon. „Powiem ci wszystko, co mam na moje uniewinienie. Kochałem Chrześciankę. Zapomnij o niegodnym przyjaźni; bądź zdrów, szczęśliwszy odemnie.“ Mówiąc te słowa, zniknął mi z oczu. — W tymże samym czasie siedziała Emilia w małéj izdebce na drugim końcu Warszawy, oparta na stoliku. Przed nią leżała otwarta książka: „Konrad Walenrod;“ przeczytała aż do ostatnich wierszy:

„Taka pieśń moja, o Aldony losach;
„Niechaj ją anioł muzyki w niebiosach,
„A czuły słuchacz w duszy swéj dośpiewa.“

Oj widać, że jéj dusza pojęła myśl wieszcza, że w niéj taż sama uczuć zadrgnęła struna. Łzami zabiegły jéj modre oczęta, a z głębi piersi dobyło się smutne przeciągłe westchnienie. Myśl, wirem wyobraźni porwana, rzuciła się na nieszczęśliwe dzieje jéj własnéj miłości. Chciałaby z serca wydrzeć przywiązanie do Leona, ale łatwiéjby jéj było umrzeć sto razy, niż zabić to jedno uczucie. Jak gdyby w celu znalezienia lekarstwa przeciw miłości, przerzucała swoję małą biblioteczkę. Z wierzchu zdjęła: „Pamiątki po dobréj matce“, i inne dziełka Tańskiéj; na nich to wykształciła swoje uczu-



Kurpie.

cia, uszlachetniła serce. Miała także: Śpiewy historyczne, Dzieje Lelewela i inne książki, także Lejbe i Siorę Niemcewicza. Z pod tych książek wyjęła małą szkatułkę, a z niéj jakiś papier, dziwnemi, jak gdyby hebrajskiemi, podpisany znakami. Pierś znowu wezbrała westchnieniem, oczy kilka świeżych uroniły łezek. A jednak pismo kilkakrotnie do ust przycisnęła. I znowu płakała i znowu całowała. I już całe godziny upływały wśród tkliwych rozrzewniających rozpamiętywań. Wtém chód szybki zatętnił po schodach, drzwi się otwarły, wpadł Leon. „Co za roskosz, Emilio! oglądam cię znowu po kilku długich dniach niewidzenia. Jak się miewasz kochanko? Czyś zdrowa, wesoła? Mój Boże, zkądże ta smętność na twojém czole? co znaczą te łezki w oku.“ I mówił i całował zapłaniające się usta Emilii. „Cierpiałam, bardzo cierpiałam,“ odrzekła dziewczyna, „ale teraz, mój drogi! widzę ciebie, i już minął cały smutek. Ale mój drogi Leonie, co za przypadek tutaj cię sprowadził. Tam żelazo najezdcy szerzy rzezie między szeregami naszéj młodzieży. Dońców piki zagrażają piersiom niewiast. Kirgizów noże główkom niemowląt. Ta ziemia tak dobra, gościnna, tak piękna, a tak nieszczęśliwa. Twoi bracia walczą za nią, giną; a ty Leonie tutaj, ty tutaj?!“

„Przestań Emilko,“ przerwał jéj młodzieniec. „Także mnie mało znasz, że mnie o brak odwagi, lub obojętność dla świętéj sprawy obwiniasz. Nakazano nam broń złożyć i czekać dalszych rozkazów. Lada chwila zagra pobudka, uderzą w bębny, z piersi naszych nowe ustawim szańce przeciw kolumnom wroga, nowe wzniesiem przedmurze naprzeciw jego strzałom. Już nie długo Emilio, a moje skronie ozdobią wawrzyny, lub je roztrzaska kartacz z moskiewskiéj puszki. W téj stanowczéj chwili zaprzysiąż mi kochanko wieczną miłość, bo jeżeli nie padnę na polu bitwy, nic już naszemu szczęściu nie stanie na zawadzie. Przed godziną jeszcze należałem wprawdzie do was sercem i duchem, ale byłem członkiem innego kościoła. Teraz jestem wasz duszą i ciałem i rzeczą i słowem; przechrzciłem się, jestem Katolikiem.“ — „A ja Żydówką,“ jęknęła dziewica, i rzuciła mu do nóg pismo z hebrajskiemi znakami. Głową rznęła w ścianę, osunęła się po murze i padła w omdleniu. Na krzyk Leona zbiegli się ludzie. Odsznurowali piersi, otrysnęli wodą marmurowe lice. Tarli i ściskali rączęta. I wracał powoli na twarz lekki odcień krwi w cerze różowawéj i otwarły się oczka, ale znowu utonęły w łez powodzi. Pierś wylała się łkaniem, zanosiła płaczem. Leon przebiegał pismo złowrogie. „Czytaj dziecię moje, bo „te głoski pisane ręką ojca w godzinie śmierci. „Znienawidzony od swoich, bom im otwierał za„ślepione oczy; pogardzony od Chrześcian, bo „mi nie mogli zapomnieć, żem się Żydem uro„dził, umieram jako ofiara jednych, podstępu i „zdrady okrucieństwa drugich. A jednak dzie„cko serca mego, kochanko duszy mojéj, gwia„zdo na przyszłém szczęścia mego niebie, hoduj „te myśli, com ci w dziecięce wszczepił serce. „Nie dziel przesądów naszego wyznania, ale „pierwéj giń sto razy w przeciągłych torturach „powolnego konania, pierwéj zabij duszę, zbez„cześć ciało, zanim porzucisz świętą naszych „ojców wiarę. Pomnij na to, żeś siostrzenicą „naszego nieśmiertelnego Berka, mężnego do„wódzcy bitnego pułku. Pomnij, że i twój oj„ciec walczył za wolność i ojczyznę, a w téj „szkole nie nauczył się zapewne wiarołomstwa „i zdradzenia swoich braci.“ — Daléj Leon nie czytał. Zatoczył osłupiałym wzrokiem na około. Spostrzegł Emilię. Zadrżały mu nogi, padł na kolana przed jéj łożem. „Bądź zdrowa na wieki,“ wyjęknął boleśnie. „Miłość moja wpiła się jadem w twéj młodości kwiécie. Zatrutym oddechem twe szczęście zwarzyła. Niechaj przynajmniéj nie kala twéj świętéj anielskiéj duszy. Bądź zdrowa na wieki, jeszcze raz bądź zdrowa!“ — „Na wieki bądź zdrów Leonie; tam, tam się zobaczymy;“ szepnęła dziewica, i wzniosła ręce ku niebu; z piersi uleciało głębokie westchnienie, z ust wybiegła modła. Leon jéj słów nie słuchał. Bezprzytomny prawie zsunął się po schodach. Nie czekał już pobudki, ani tarabana. Pędził na szańce. Co mu tam do zakazu dyktatora. Cóż go tam obchodzi pogróżka śmierci; on jéj sam szuka. I z jednéj strony posuwało się w miasto po pomoście, usłanym trzydziestoma tysięcy zielonych trupów, ośmdziesiąt tysięcy bitnych moskiewskich żołnierzy. Głazy tętniały pod ich wymierzonemi krokami. Jedno tylko *hurra* Warszawskiego ludu, a byliby się na kolana powalili, jak niegdyś Żydzi na jedno słowo Zbawiciela. Szli w ponurém milczeniu, jak gdyby się bali zbudzić lwa śpiącego. I z drugiéj strony Warszawy pędził przeciwko nim bezbronny przechrzta. A oszukani mieszkańcy płonęli wstydem, połykali przekleństwa. A uwiedzione wojsko szło za wodzami drogą hańby, myśląc, że idzie na śmierć lub zwycięztwo.

W kilka godzin potém, zbiegła się na saskiéj kępie hurma ludzi koło trupa wisielca. Dzieci rzucały kamieniami, kopali starsi, kobiety nawet nań plwały. Okropne przekleństwa rzucano na całą jego rodzinę. Na matkę, co go wykarmiła swą piersią; na ojca, co takiemu potworowi dał życie; na miejsce, gdzie wyrosła gadzina. I dziwnie odbijał łagodny charakter naszego ludu w tym czynie sprawiedliwego okrucieństwa, w tém ukaraniu najszkaradniejszéj ze wszystkich zbrodni, zdrady własnego kraju. Bo im się zdawało, że tym wisielcem był szpieg ukarany przez sąd doraźny, a tym wisielcem był Leon Haber. — Lwów, d. 1. Września.

Mar.

X. Andrzéj Pohl.

X. Andrzéj Pohl, Generalny Wizytator Zgromadzenia XX. Missyonarzów i Siostr miłosierdzia, urodzony r. 1742. w mieście Łowiczu, odbył w témże mieście pierwiastkowe nauki; w roku 17. wieku swego przywieziony do Warszawy, wedle swego usilnego żądania wstąpił do Zgromadzenia XX. Missyonarzów, w którém pod naczelnictwem uczonych XX., Śliwickiego i Siemińskiego, Professorów Zgromadzenia, nauki stanu duchownego pobierał, i dwuletnie Seminaryum odbył, przyłożywszy się przez ten czas z pożytkiem szczególnym do kursów filozofii, teologii, prawa kanonicznego, wymowy duchownéj i dalszych nauk, powołaniu swojemu właściwych.

Mając lat 22., został Dyakonem i w tym wieku wysłany do Wilna na Professora w Seminaryum dyecezyalném, zaczął z podziwieniem i zadowolnieniem udzielać drugim światła, którego nabył w Warszawie; w roku następnym na Kapłana poświęconym został. Po trzechletnim pobycie w Wilnie, gdy z przyczyny ciągłéj naukowéj pracy na zdrowiu cierpieć począł, za radą Lekarzy do miasta Siemiatycz na mieszkanie był przesłany. Tam przy prefekturze kościoła większą część czasu strawił na Missyach, czyli nauczaniu Parafian prawd wiary i moralności chrześciańskiéj, po wiejskich parafialnych kościołach. Kazania jego, które natenczas miewał, wyszły z druku pod tytułem: „Kazania Missyjne.“ Wkrótce urząd Assystenta Zgromadzenia otrzymał.

Zwierzchność Zgromadzenia, a mianowicie X. Siemiński, Wizytator i Superior domu XX. Missyonarzy, będąc zatrudniony interessami domów całéj Prowincyi, wezwał z Siemiatycz do Warszawy X. Pohla na urząd Assystenta i rząd duchowny, naukowy i ekonomiczny onemu powierzył. Nie zawiódł X. Pohl dobrego o sobie rozumienia i zaufania swojego Przełożonego. Zajął się nie tylko naukami, ale i ekonomią, a dla pomnożenia dobra dla Zgromadzenia wybudował dwie kamienice, po obu stronach kościoła Śgo Krzyża będące. Oprócz domowych zatrudnień, zewnętrzne interessa Zgromadzenia własnego i domów Siostr miłosierdzia często nadarzały potrzebę udania się osobiście do Króla Stanisława Augusta, który go zawsze względami i uprzejmą poufałością łaskawie zaszczycał.

Po przemieszkaniu przez lat sześć w Warszawie z chwałą, gdy dom wileński Montis Salvatoris potrzebował doświadczonego Rządzcy i Superiora, Zwierzchność Zgromadzenia znagloną została, lubo z żalem, przeznaczyć X. Pohla na Superiora do Wilna, gdzie w roku 1782. objąwszy rząd domu wileńskiego, zajął się zaraz ułatwieniem ważniejszych zewnętrznych interessów Zgromadzenia, oraz pomnożeniem pożytków i wewnętrzną melioracyą samego domu. Za jego staraniem wybudowana piękna kamienica w Wilnie na przedmieściu Subocz; sam dom Montis Salvatoris, jako niedogodny, winien mu przeistoczenie, uporządkowanie i teraźniejszą dogodność, a erekcya wielu gospodarskich budowli, również jak i wygodne gospodarskie zabudowania po folwarkach funduszowych, jego pracy i starania są pamiątką.

(Dokończenie nastąpi.)

Przeczucie.

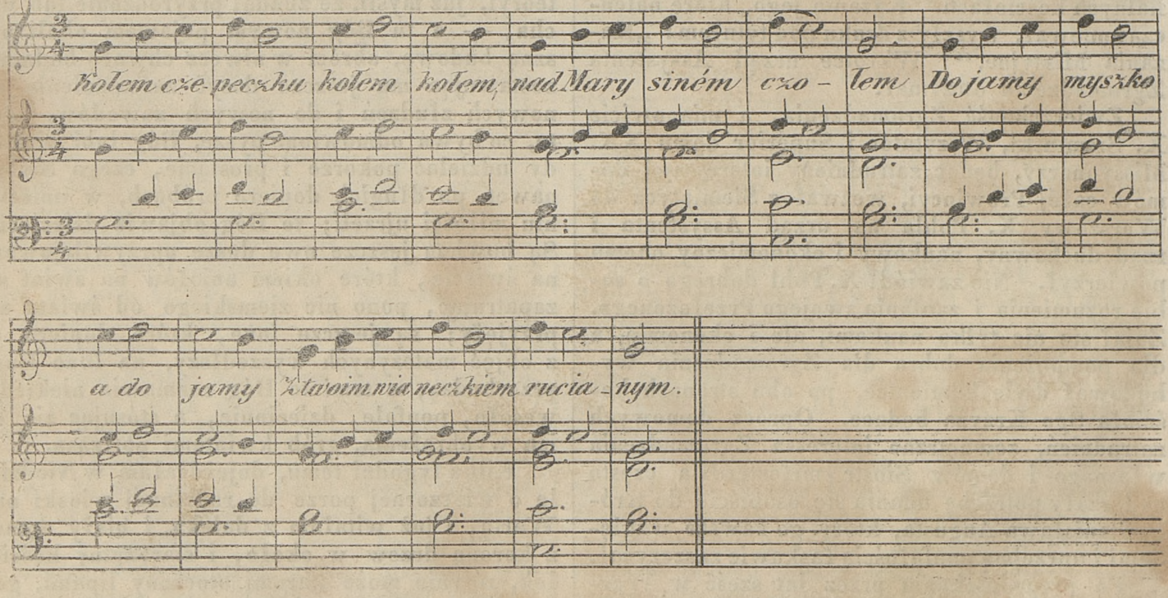
W pierwszych czasach stworzenia, Bóg poufale rozmawiał z ludźmi, i jak ojciec łaskawy opowiada pierworodnemu synowi wszystkie zamysły ku polepszeniu jego losu, tak i Bóg rozwijał przed pierworodnym Adamem wszystkie bogactwa swego miłosierdzia, i uchylał przed nim nie jeden z tajników przyrodzenia. — Adam zaś nie szperał w nich rozumem, ale uwielbiał i pojmował sercem, aż póki pycha rozumu, chęć wiedzenia, nabyta kosztem szczęścia na ziemi i w niebie zniszczyła ten błogi stósunek stworzenia z Stworzycielem. Odtąd człowiek skazany na wieczne pragnienie, umiera pod skwarem światła, którego objąć nie może, wiedzy, któréj nigdy nie posiędzie; własnym zostawiony siłom, chwyta chciwie każde podobieństwo prawdy, buduje wniosek na domyśle, teoryą na teoryi, już myśli, że zbadał przyrodzenie lub ducha, — a tu Bóg nowym pojawem obali pyszną budowę, obróci w niwecz chwałę badacza, zostawując mu jeszcze dosyć zarozumienia do nowych złudzeń i do nowych zawodów. Ale to, co bywa odmówione pysze, Bóg lubi niekiedy udzielać pokorze i prostocie, czego Święci nawet, po długich dopiero próbach, w uniesieniu miłości ujrzeli; to Bóg objawia dziecięciu. Są bowiem jeszcze owe dusze uprzywilejowane na świecie, które okiem aniołów na świat się zapatrując, pono nic ziemskiego od świata nie przyjęły; są jeszcze inne, które dopiero co z objęć matczynych wyszedłszy, na łono Boga przechodzą; z temi to Bóg rozmawia niekiedy, wesoło, poufale, dziecinnie, a stósując się do ich wyobrażenia, grób kwiatami pòtrząsa.

Kilka tygodni temu, dojeżdżałam w Niedzielę o wieczornéj porze do rodzinnéj wioski nad Wartą, i już witałam z daleka i biały domek z koroną drzew w około, i starożytny kościółek, równie może staremi otoczony lipami, gdy doszedł mych uszu boleśny dźwięk pogrzebowego dzwona. — Serce zabiło mimowolnie — kazałam prosto zajechać na cmentarz — tłum ludu go zapełniał — a najwięcéj kobiet, a w koło małego grobu najwięcéj klęczało dziatek. — Dwoje z nich, ośmioletnie dziewczynki, ze łzami w oczach, z koszykami w dłoni, rzucały na grób zmarłéj towarzyszki równianki z kwiateczków polnych. — Gdy się skończył obrzą-

dek, zbliżyłam się do smutnego koła i wypytywać zaczęłam. — Biedna matka przed łzami odpowiedzieć nie mogła, ale mała Kasia przystąpiwszy ku mnie: — „Ach moja kochana Pani," mówiła, „wielki to mamy smutek, bo tócto Marysię w grobie my dzisiaj składali — Marysia, co tak była dobrą, że cała wieś ją kochała; a tak posłuszna, że biegła na skinienie rodziców; a taka pokorna, że nikomu złego słowa nie powiedziała; a tak wesoła, że aż miło się z nią bawić bywało. W Czwartek jeszcze pasłyśmy krówki na łączce za kościołem — Marysia nie tyle biegała co zwykle, tylko siedziała zamyślona, — ale nie smutna, bo się często uśmiechała, a zwłaszcza, kiedy na kościół spojrzała. — Pytałam jéj się pare razy: Marysiu moja, — co ci to? — ale ona tylko ręką czoło potarła, mówiąc, że ją trochę boli głowa; — wtém zadzwoniono na anioł pański, uklękła jak zazwyczaj, i złożywszy ręce patrzała długo w niebo, a przytém tak była ładna, jak te aniołki, co są w kościele na obrazie Matki Zbawiciela. Razem powstała, i, klasnąwszy w dłonie, zawołała: Kasiuchno miła, narwijmy kwiatków, ale dużo i ładnych kwiatków, zaniesiesz je w Niedzielę do kościoła, jak mnie już nie będzie. Nie rozumiałam jéj wtedy, ale szczęśliwa, że ona wesoła, bo ją kochałam jak siostrę — i pobiegłyśmy wesoło i dużo nazbierały kwiateczków. Marysia im się cieszyła, a za każdym piękniejszym klaskała w dłonie, mówiąc: to dla ciebie, ja w niebie piękniejsze mieć będę. — A kiedy ty będziesz w niebie spytałam ciekawie. — Ot widzisz, jutro, jak krówki z pola przypędzi, matynka kochana nie zastanie Marysi przy życiu. — A nie żal ci to umierać, zawołałam. — O nie wcale, bo w niebie tak ładne dla Pana Jezusa kwiatki zbierać będę! — I ona się uśmiechała, a ja rzuciłam jéj się na szyję, nie wiedząc, czy śmiać się, czy płakać, bo zkądże, ona dzisiaj tak zdrowa, jutro umieraćby miała; — a jednak pomyślałam sobie, ona tak dobra, że może ją Pan Bóg chce mieć aniołkiem w niebie. — I tak się też stało; Marysia zachorzała na głowę i nie popędziła bydełka. Rodzice poszli w pole; a gdy pod wieczór wrócili do domu, Marysia leżała wyciągnięta na łóżeczku, z uśmiechem na ustach, z założonemi na piersiach rękoma, ale już nie słyszała, chociaż na nią wołali."

M.

№148. PIOSNKA PRZY WESELU. *Wieś Przysucha*



Text do *Nru. 148.*

Kołem czépeczku kołem, kołem,
Nad Marysiném czołem;
Do jamy myszko, a do jamy
Z twoim wianeczkiem rucianym.
A ty wianeczku na kołeczek,
Bądź dla innych dzieweczek!

Nie wdowa Maryś, a nie wdowa,
Siedzi w czépku jako sowa.
Idźcie druchny, lipową drogą
O deszłyście pannę młodą.
Czyście jéj to ślepe były,
Kiedyście ją oczépiły?

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: Dr. *Szymański.*)